№ 27.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1840. Poznań, dnia 8. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Trech - Tymirów.

Powiastka z drugiéj połowy dwunastego wieku.

I.

(Ciąg dalszy.)

Było to w chwili, kiedy wnukowie Olega spierając się o władztwo nad Kijowem z wnukami Monomacha, wezwali ku pomocy suzdalskiego kniazia. — Jerzy Dołgoruki i jego syn Andrzéj Bogolubski, wziąwszy na żołd Połowców, runęli na kraj ruski — Olegowiczów i Monomachowiczów precz wygnali, po wszéj-Rusi szeroko rozpuścili pożogi, spustoszenia, śmierć i gwałty — i tym sposobem własczyli dla siebie Ruś — Sławian z ruskiéj ziemi gnali nad Klazmę, nad Wołgę, a wysławiańszczoną Ruś chcieli posiedlać Suzdalami i Ugrami, i zrobić niesławiańskie państwo. — Rusini opuszczeni od kniaziów przybylców, Rurykowego niesławiańskiego szczepu, przypominali sobie potęgę Bolesławów; jedna mowa, jedno i tożsamo pochodzenie ciągnęły ich ku Polsce, ale Lachowie wplątani w niemieckie sprawy, niemogli podać bratniéj ręki, a Suzdale jarzmo niewoli wtłaczali na Ruś. — Nadarmo Dołgoruki nastawiał moc warownych zamków po wszéj ruskiéj ziemi, i poobsadzał je licznemi załogami Suzdalców i Połowców, nadarmo obiecankami i cackami hołubił Rusinów i okrutnemi kaźniami ich dręczył — choć nie jawna, ale kryjoma i zacięta wojna trwała. — Nadprypeciańskie puszcze, stepy Ukrainy, Dnieprowe i Dniestrowe ostrowy zaludniły się Rusinami, co przysięgli mieczem i ogniem tępić Suzdalów i dotrzymywali jak mogli i jak umieli. — Wielu jednak Rusinów dobrowolnie wprzęgło karki w suzdalskie jarzmo; ci jeździli z daninami do Dołgorukiego, i z Bogolubskim chodzili na wojenne wyprawy. — Możne rodziny na Rusi jedne trzymały za suzdalskim kniaziem, drugie przeciw. Cywuni jednak i grydniowie Dołgorukiego dławili i nękali wszystkich bez wyjątku, i za łeb trzymali każdego, co nosił imie Rusina.

Z powodu waśni Olegowiczów z Monomachowiczami, między rodzinami Rusi były rozdwojenia, a nawet rodowe nienawiści — tak się też działo między rodzinami Daszkiewiczów i Tymirów, podówczas znamienitemi na Rusi. — Daszkiewicze, strona Olegowiczów, Suzdalcowi się poddali. — Tymirowie, wierni Monomachowiczom, nigdy Suzdała ani za pana, ani za drucha uznać niechcieli. — Światosław Daszkiewicz, Wasylkowski posadnik, ojciec trzech cór krasnolicych, Olgi, Heleny, Marty, i syna Ostafiego, chodził z Bogolubskim na wyprawę, na Torżek. — Piotr Tymir wojewoda czehryński, ojciec trzech synów Wszesława, Jaropełka, Włodzimierza i córy Praxedy, rzucił dziedziczne zamki, peregorody i słobody, a poszedł z żoną na włóczęgę, na rozboje; za Ruś.

II.

Niedaleko starego Urucza, była puszcza, straszna dla ludzi, miła zwierzowi. Tu i owdzie jeżyła się skałami i mogiłami; tu i owdzie pożłobiła się w jarugi i podrążyła się w głębokie pieczary; miejscami zaplotła się ciemnym lasem, miejscami porosła kiściastą sośniną; a tyle tam łomów i wywrotów, wykotów i wypłoczy, że i samemu djabłu trudnoby tamtędy ścieszkę zrobić; tam źródła Usza

i Żerewa, wody Norynia i Sławeczny, natworzyły bez liku przepaścistych bagien i zgniłych jezior. — Mnogie lata temu upłynęły, jak Kazagowie tam przebywali, stamtąd zagony zapuszczali po przeddnieprzańskiéj Rusi, i dla tego puszczę tę zwano Kazagską górą.

Nad sinym Dnieprem złotousty Bojan śpiewał Igorową wyprawę na kazagskie pułki, — więcéj sta lat temu ubiegło. — Bojan wstąpił w niebiosa śpiewać złote dumy Bogu Twórcy i Świętym Pańskim. — Koście wojennego Igora lichy robak toczy. — Jednak lud wszéj Rusi powtarza Bojanowe dumy, jak pacierz powszedni, sławi sławę Igorową jak spuściznę swoją. — Kazagowie jak plewa przed wiatrem szczeznęli z ruskiéj ziemi, gdzieś zaginęli na przepadłe imie, a jednak puszczy pozostało zwanie Kazagskiéj góry.

Noc była — po niebiosach chmury za chmurami nawałem gnały; czasami tylko blado-licy księżyc i jasno-oka gwiazdka migną, błysną, podraźnią się z olbrzymiemi cieniami puszczy, i znowu znikną, a wiatr wyje, jakby wilcy i niedźwiedzie całéj puszczy naraz wielkim korowodem zawiodły.

Tam w téj puszczy, w skalistéj pieczarze, jakby w warownym zamku przebywał wojewoda czehryński z żoną, z rodziną, i z nielicznym ale dzielnym pocztem wiernych Rusinów. — Dziwne to było mieszkanie: w miejscu makat i kobierców, szczera opoka; w miejscu wezgłowia i łoża, mech i suche liście — a w pieczarze pełno rozmaitéj broni, i Rusinów pokotem śpiących. Wojewoda się cieszył tym przyborem komnat swojego nowego zamku, bo to nie łupy, ale śmierć dla Suzdala. — Stary wojewoda jeszcze niespał, w jednym załomie pieczary słuchał donosy swoich Rusinów, i dawał im rozkazy — twarz jego była sucha, blada, oko smutkiem przytérane, ale czoło pogodne, harde, i postawa rosła mimo wiek jeszcze się czwaniąca — słowa jego były krótkie, ale kto je odebrał, długo, długo niemi się cieszył.

Porozchodzili się wszyscy: jedni spać, drudzy w drogę. — Wojewoda ukląkł i pomodlił się, potém przyszedł nad łoże żony, stanął i żegnał krzyżem świętym i ją i dziewczynę swoją jedynaczkę. — Wojewodzina się przebudziła.

»Panie! a wrócili nasi synowie?«

»Nie jeszcze.«

»Tak długo!?« — i w oczach jéj zazwierciedliła się macierzyńska obawa.

»Oni wrócą — śpij Anno.«

»A ty panie?«

»I ja spać pójdę.«

Anna zmrużyła oczy niby do snu, a marzyła o synach i za nimi do Boga się modliła. Wojewoda owinął się w siermięgę niby do snu, a na mchu obok żony się niepołożył, tylko cichutko wyszedł z pieczary wyglądać i wysłuchiwać. — Ciemno, nic niewidać, tylko czasem jak robaczki świętojańskie u dołu puszczy zamigoczą wilcze oczy, ale Rusin wilka się nielęka, i wilk niestracha się Rusina, od czasu najścia Suzdalów oni pokumali się z sobą — nie raz i nie dwa Rusin na szlaku, koło słobody, zamordował Suzdala albo Połowca, a wilk pożarł wraże ścierwo, i stąd kumostwo. — Ale co do ucha, to różne posłuchy się niosły. — Łosie na żér pędzą, łomoczą puszczą, jakby tabun wojennych koni kopytami stukotał po szlaku — lisy poszczekują, niby zwiadnik wabi zwiadnika — sowa jęczy jak płaczka Rusinka za zmarłemi dziećmi — niedźwiedź porykuje, niby Suzdal ranny — a wiatr wyje i szumi wrzawą wojny. — Wojewody ucho wprawne, wszystko to zna, i niesłyszy ani kroków ludzkich, ani głosu ludzkiego — tęskni za synami, o coś ważnego się niepokoi, i marzy o swojéj Rusi. On ojciec — on Rusin.

Tak przemarzył aż do świtu — obejrzał się po za siebie, tam o kilka kroków na kamieniu siedzi wojewodzina — nieczekała zapytania —

»Nasze dzieci! oni poginęli, wpadli w ręce Suzdala!« — Płakała i załamywała wyschłe ręce.

»Niepłacz Anno — oni żyją, oni wrócą — tyś Rusinka, oni dzieci Rusi.« — Silniéj te słowa wymawiał, choć łzę w oczach powstrzymywał.

W tém gwizdnięcie dało się słyszeć w puszczy, jedno, drugie i trzecie.

»To oni! — to oni!« — Wojewoda sam odgwizdnął, i jakby cudem Bożym ziemia puszczy porodziła kilkunastu zbrojnych Rusinów, to strażnicy pieczary. — Niebawem ukazał się z puszczy młodzieniec hoży, rosły, przybrany w sirak prostego słobodnika. — Wojewodzina krzyknęła

„Włodzimierz! a bracia!?«

On niemiał czasu matce odpowiedzieć, słowem, uściskiem, bo go ojciec zapytał:

»A kniaź?«

»Idzie ojcze; ja ich o kilka gon tylko wyprzedziłem.«

»Z kim?«

„Z Wszesławem, z Jaropełkiem.«

»Niewziął zakładników?«

»Nie, ojcze.«

»Czy ma straż przyboczną?«

»Nikogo — sam jeden.«

»Jakto?«

»Kniaź Izasław powiedział: Wielki książę Rusi wojewodzie Tymirowi wierzy, jak samemu sobie.«

»I niezawiedzie się. — Anno, co mamy, gotować na przyjęcie wielkiego kniazia. — Rusini moi do broni, hej tu do mnie, pan nasz między nas przybywa — wnuk Olega Rusinom się powierza. Izasław krwią zmaże pakty zawierane z Suzdalami przez swoich rodnych Olegowiczów. — On Olegowicz, niepomny, żeśmy z Monomachowiczami trzymali, bieży ku nam, aby porwać chorągiew Rusi i wieść na Suzdala. — Ruś mu dopisze.«

Rusini zbrojni stawali koło swego wojewody, młody Włodzimierz choć drogą znużony, trzymał chorągiew ruską; na malinowém tle srebrzy się Archanioł Michał, nogami już szatana zdeptał, a jasny miecz jeszcze trzymał wzniesiony do góry — to rodny opiekun, serdeczny Święty sławiańskiéj Rusi. — Pop przybrał szaty kapłańskie, i wziął do rąk krzyż ze Zbawicielem — wojewodzina w sobolowym szłyku — Praxeda z rozpuszczonemi warkoczami; wszyscy wyszli przed pieczarę — i oczy i uszy tężyli ku puszczy, stamtąd wyglądali kniazia — pana.

Niebawem ukazał się gość pożądany. — Kniaź Izasław choć długą drogę przebył, szedł rzeźwo, śmiało — a dwaj Tymirowiczowie panoszyli się chlubą. — Stary wojewoda przykląkł na kolana przed kniaziem.

»Wielki kniaziu Rusi, panie nasz miłościwy, witaj między nami! — my twoi poddani, czekamy na twoje rozkazy — niewielu nas jest, ale wiernych tobie, wiernych Rusi.«

Kniaź podał rękę do pocałowania wojewodzie, i podniósł go. — »Witajcie mili bracia! — ja z wami, wy ze mną! — daléj na wroga, za Ruś!«

I zewsząd odezwały się wrzawne okrzyki: »Niech żyje wielki kniaź Izasław! — na wroga Suzdala! — za Ruś!«

Ruskim obyczajem każdy wielkiego kniazia w rękę całował, i była radość, było wesele. Kapłan mszą świętą pod gołém niebem prawił; wielki kniaź chorągiew Rusi w ręku trzymał, bił się w piersi i modlił — Rusini pokłony bili i śpiewali hymny na cześć Bożą, a puszcza brzmiała rozgłosem świętego wesela.

Tak stu Rusinów niespełna, w puszczy wśród najechanego i zawojowanego kraju witało wielkiego kniazia, pana Rusi. — Tak możny wojewoda, samowolny wygnaniec dla miłości ojczyzny, odtrącał od swojego serca dawne niechęci, chylił harde czoło przed Olegowiczem, wiódł go na wielkie księstwo, żeby dać ojczyznie wodza, któregoby imie wsza Ruś znała — pana, przed którymby wsza Ruś ukorzyła się posłuszeństwem i wolą — i zlała się w jednę nierozdzielną całość. — Tak kniaź Izasław stawał na prośbę garstki Rusinów, walczyć za rodzimą ziemię, krwią i życiem okupywać winy i błędy swoich rodnych Olegowiczów. — I kniaź, i wojewoda i Rusini, mimo małość liczby pewni byli zwycięstwa — bo mieli serca i ręce, a na woli im niebrakło.

Już było południe, nad Sławeczny wodą dało się słyszeć ciche brzękanie gęśli, i śpiew nie bardzo głośny —

Smutno, tęskno, we wszéj Rusi —
Pusto w stepie — głucho w lesie —
Suzdal jarzmem kark nam dusi,
Połowiec knut na nas niesie. —

I niedali mu dośpiewać: wszyscy trzej synowie wojewody skoczyli w tę stronę. — I ledwie Zdrowaś Marya wymówić było można, już oni powracali ze starym guślarzem Bohdanem, i z siwym rycerzem Daszkiewiczem. — I czemuż młodzi Tymirowie taką cześć okazywali posadnikowi, wszak to wróg ich rodziny — to prawda — ale on miał trzy czarnobrewe córy — sławne z krasy na całe okolice — a oni mieli i serca i oczy.

Bohdan w ciąg opowiadał, jak dnie i noce chodzili, nim ich znaleźli; posadnik milczał i wzdychał — przed wojewodą powiedział: »Twoja prawda, twoja — ja mam nagrodę — a oni będą mieli albo moją pomstę, albo moją śmierć.«

Wojewoda podał rękę posadnikowi. — »Kto ma wolę mścić się nad Suzdalem, ten z nami, ten nasz« — i wiódł go do wielkiego kniazia.

Daszkiewicz powitawszy Olegowicza, swojego dawnego pana, zdziwionem okiem pozierał na Tymira.

Wojewoda mu szepnął na ucho — »To potomek kniaziów ruskich, a ja Rusin.«

Potém Daszkiewicz opowiadał swoje domowe nieszczęście; młodzi Tymirowie rwali się biedz na wroga; widać, że serdeczną zemstą ku niemu się palili. — Och! oni znali i dobrze znali Daszkiewiczówny, bo ktożby je nieznał na ruskiéj ziemi!? — Wielki kniaź polecił dowództwo wojewodzie. — »Doświadczony to wódz, wojewoda« — rzekł Daszkiewiczowi — »ciebie ojca pomścimy — i Rusi usłużymy.« — Dawał potrzebne rozkazy i wysyłał ludzi na wsze strony — a stary Bohdan chodził między Rusinami, brzdąkał w gęślę i śpiewał:

Święć się Rusi — hej do broni —
Święć się Rusi — hej do koni —
W imie Rusi — w imie Boga —
Za broń — na koń — taj na wroga! —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZYPISY.

Jerzy Dolgoruki i *Andrzéj Bogolubski*, wielcy kniaziowie Moskwy, spustoszyciele Kijowa.

Spory między potomkami Monomacha i Olega slawne są w dziejach Rusi.

Owrucz, niegdyś zwał się Uruczem, od ruczaju czyli potoku.

Przez krzywienie historyi Kazagską górę zwą dziś Kozaczą górą, wprawdzie, że w czasie nieszczęsnych wojen kozackich, tam się przechowywali kozacy, tam się zbierali, aby napadać na Litwę.

Kozarow czyli *Chozarow* zwano Kazagami, jakto widzimy w pieśni Bojana o wyprawie Igorowéj na kazagskie pułki.

Archanioł Michał, patron Rusi, a potém Ukrainy.

Towarzystwa i towarzyskość.

Są czasy, których cechą jest towarzyskość, a towarzystwa obcémi im były: takiémi były wieki średnie; są znowu inne, i my dziś w nich żyjemy, w których zdaje się, że cała społeczność ludzka na towarzystwa się rozwięzuje, a towarzyskości mało. — Są narody, przez wiązanie się w towarzystwa, wyprowadzające i dokonywające dzieła wielkie i wzniosłe, jak Anglia, a tak mało towarzyskie, że zdumiewa nas ich obojętność, otrętwia ich zimno; są inne znowu, jak Polska, któréj ciągłém życiem z dnia na dzień towarzyskość, ale za to żadnego popędu do łączenia się w jedność ku jednym celom. — Są nakoniec pojedyńczy ludzie, najlepsi urzędnicy, rękodzielnicy, sztukmistrze, wypełniający pilnie i troskliwie obowiązki wszelakiego stowarzyszonego ciała, którego są cząstką; ale tak mało mają towarzyskości, że ich nieujrzysz po za zakresem ich powołania, że ich nikt nieznа, chyba ci tylko, co z nimi w bezpośrednich są stosunkach. Przeciwnie osoby towarzyskie, wesołe, lubiące zabawy i znajomości, ci, co są okrasą każdéj kompanii, częstokroć zaniedbują się w obowiązkach, i nieradzi są czynni w sprawach ogólnego dobra.

Widać zatém, że towarzystwa i towarzyskość, lubo tak bliskoznaczne wyrazy, różnego cale są znaczenia, a tém samém różnego muszą być co do treści początku; cechując zaś charakter czasów, narodów i osób, wpływają oczywiście na ich losy i powodzenie. Warto ztąd nad jedném i drugiém zastanowić się, a naprzód odsłonić źródła, z których sączyła i sączy się skłonność naturalna, już do łączenia się w towarzystwa, już do towarzyskości, i rozlewała na czasy, na ludy, na ludzi. Może to będzie cechą dziejów, może i skazówką na przyszłość.

Powiedziano o człowieku że to jest świat cały, mikrokosmos. Jeżeli pod względem fizycznym, zdaniem tém powiedziano zawiele, powiedziano zamało pod względem umysłowym. Bo wszystka myśl, cały świat moralny tylko w człowieku się mieści, w nim i przez niego się objawia. Sądu i moralności, niema i niezna ich wszystka nieograniczna i zwierzęca natura. W człowieku też samym muszą być źródła ukryte, których szukamy. Popatrzmy się po nim w stanie natury, tak jak wyszedł z rąk Twórcy swego, i odgadnijmy, jakie mu dane przeznaczenie.

Oba krańce żywota jego, tam, gdzie się czołga na czterech, i tam, gdzie o kiju wiek pochylony podpiera, są przez szczególny wyjątek z całego królestwa zwierzęcego, długie, wieloletnie kresy niedołężnego życia, największéj sił nieudolności. Rok i dłużéj trwa niemowlęctwo dziecięcia. Ale choć i w lat kilka nauczy się już bezpiecznie stawiać drobne nóżki, i już przebiega o jasném oku, o wesołéj duszy, ten świat dla niego tak piękny, tak uroczy; choć już na ludzi woła głosem człowieka, — siły jego jeszcze tak słabe, rozum tak mało zaradny, że zmarniałoby bez rodzicielskiéj pieczy, co go żywi, przyobleka, od szwanku wszelakiego chroni. W zgrzybiałym starcu wiek niedołęztwa, jakby wolnego obumierania, dłuższy jeszcze. Czas mu zmarszczkami na twarzy ciężkie brzmienie żywota jego opisał; zmysł i myśl stępiały; zstężały w niemoc krzepkie siły; świat cały mgłą przed wzrokiem jego przedzielony, jakby osłoną śmierci, zaciemniającą jasne kolory życia; drży z osłabienia wyciągniona ręka i noga naprzód stawiana, całe ciało się chwieje, z oczu łza starości ronie; i ten stan człowieka stojącego nad grobem, woła pomocy, wsparcia, opieki, tak jak u kolebki. On jeden przyszedł nagi z łona natury, stanął bezbronny w pośród uzbrojonego świata. Najdoskonalsze dzieło rąk boskich, gdy pojrzał po sobie, zawstydził się nagości swojéj i zadrżał w przekonaniu bezbronności swojéj.

Dla czegożby więc przyrodzenie, co raz na zawsze przyodziało bydlę, rybę, ptaka, robaka nawet; co opatrzyło je bronią przyzwoitą, i sprawiło, iż chwilę ich niemowlęctwa tak są krótkie, a wiek późny niepotrzebujący wsparcia obcego; — dla czego od człowieka tylko opiekuńczą i zaradczą odciągnęło rękę? W pierwszych chwilach bytu ludzkiego, byłoby może trudno odgadnąć to pyta-

nie. Dziś już je nam rozwiązała przeszłość kilkodziesiątwiekowa. Rodzaj ludzki, choć zwolna, choć wielekroć krętémi i kołującémi drogami, ale wciąż postępuje w ulepszaniu materyalnego i moralnego bytu swojego; wnika w tajniki sił przyrodzonych; ziemię, to mieszkanie żywota jego i wszystko co na ziemi, pod swoje podbija panowanie; uczy się poznawać wartości własnéj i nieskończonéj wielkości Boga. Oto cel wyższy, duchowy, cel postępu i ciągłego zbliżania się do doskonałości, jaki włożony został na człowieka, będącego pod względem gatunkowania się i potrzeb fizycznych, podobnym do innych tworów zwierzęcych. Porówno z niémi czuje głód, pragnienie, chuć; i porówno z niémi zażegany i naglony tym bodźcem, utrzymuje żywot własny i żywot gatunku. Ale na tém też tylko, na téj stronie cielesnéj, którą jest ułomny i znikomy, polega całe jego podobieństwo do zwierząt. Postępu, doskonalenia się coraz dalszego, niema i nie zna zwierzę; dziś jest takie samo, jakie było przed wieki i zawsze zostanie takie; z tą samą, nie większą i nie mniejszą cząstką przemysłu wrodzonego, instynktowego, co je uczy obmyślać żér dla siebie, chronić się przed niebezpieczeństwem, dbać o schludność, budować sobie gniazdo. W najpóźniejszych pokoleniach żadnéj tam odmiany niedostrzeżesz.

Wyraźnie więc natura każdemu gatunkowi zwierzęcemu przeznaczyła jednę pewną, osobną, nieodmiennémi granicami zakreśloną sferę działań, którą zwierz wraz z ulężeniem obejmuje i za którą nigdy niewychodzi. W takiém określeniu, przeznaczeniem jego tylko żyć i mnożyć się. Więcéj jeszcze stałemi prawami określony mają żywot rośliny i kamienie. W owéj całéj organicznéj i nieorganicznéj przyrodzie, taką niezliczoną rozlicznością jestestw, stwórca roztoczył chwałę swoją. Ale ze wszystkich tych tworzyw, jeden tylko utwór mógł być postępowy, dla téj własności naturalnie najdoskonalszy; jeden tylko, któremuby wolno było wybiegać za zakreślone przyrodzeniem granice. Bo weźmy na chwilę w pomoc wyobraźnię naszą, przypuśćmy, żeby i inne gatunki zwierząt były postępowe, kształcące się przez rozum i wolę, gdyby na wzór ludzi, z którymi fizycznie są podobne, tworzyły między sobą społeczne towarzystwa, a w tych grała tyloliczna wola, namiętność i żądze? Jakieby to było chaos, jakie zamieszanie! Wyginęłoby w niém niezadługo wszystko, co żyje na lądzie, powietrzu i wodzie, i ta życiem zewsząd napełniona ziemia zmartwiałaby i rozległaby się po niéj cisza grobowa.

Człowieka zatém jednego wybrało przyrodzenie na jestestwo postępowe. Dało mu ku temu wolę i myśl, nieograniczone. Wolę na to, aby poznał się panem natury, rozum na to, aby umiał nim być. Bez woli nikt niepozna godności swojéj, będzie jak zwierzę, jak niewolnik; bez rozumu nikt jéj piastować niepotrafi, będzie jak dziecko, jak kaleka rodzaju ludzkiego. I tenże to twór najdoskonalszy, co miał przez wolę i rozum owładnąć panowanie na ziemi, wszystko zdobyć potęgą myśli, — tenby miał wyjść z łona natury przyodziany, uzbrojony, opatrzony we wszystkie potrzeby? on osieść i gnuśnieć w raju roskoszy i nieczynności? To być niemogło. Ciekawe a gnuśne stworzenie wypędził stwórca z ogrodu wygód, gdzie mu zimno niedoskwierało, owoc z drzew do ust się uginał, a zwierzęta go jako króla słuchały; wygnał go w świat zimny, dziki i pusty, aby tam wolę swoją potrzebami zażegnął, i nasycił ją pracą i znojem ducha; aby poznał co może, kiedy chce, aby sam sobie wrócił raj utracony, przez podniesienie i udoskonalenie duchowéj potęgi swojéj. I stało się tak. Gdy go zastraszyła kłami nasadzona paszczęka drapieżnego zwierza, gdy kolczyzny zarośli i kamieni raniły ciało jego, żywioły dokuczały, głód dojmował, stanął i zadrzał; — ale i pomyślał. Ocknęła się wola, chęć zwalczenia tych cierpień, jéj płomykiem rozigrana myśl wybiegła, wytężyła się, i niebawem znalazła pałkę na zwierza, okrycie i szałas przeciw słotom, owoc, mięso i mleko na zaspokojenie głodu. Z postępem wynalazł człowiek broń siarczystą, budował sobie pałace, zbytkował w strojach, pokarmie i napoju.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sposoby domowe ku wygodzie i pożytkowi.

O pieczeniu zdrowego i smacznego chleba.

Dotychczasowe sposoby pieczenia chleba po wsiach, a bardziéj jeszcze przygotowania ciasta na chleb przeznaczonego, tak wielu podlegają niedokładnościom, że czujemy potrzebę kilka słów powiedzieć o tym przedmiocie.

W ogólności zboże na chleb przeznaczone powinno być zdrowe, dobrze wysuszone i starannie przechowywane. Zboża nadpsute dają ciasto z trudnością rosnące, a chleb z niego wyrobiony, przedstawia ośródkę klejowatą, smak ma przykry, ostro-

słodkawy, pod względem zaś pożywności mało jest posilny, a często nawet bardzo szkodliwy.

Pospolicie wieśniacy polscy używają do przyrządzenia ciasta chlebowego kwasu zachowanego z ostatniego pieczenia, który jeżeli jest stary, dawny, bywa już częstokroć w początkach gnicia, a tém samém szkodliwy. Kwas tak zepsuty rozprowadzają wodą wrzącą, mieszają z mąką na chleb przeznaczoną, i przerobiwszy czyli zagniotłszy mniéj więcéj dokładnie ciasto, tworzą bułki i wsadzają do pieca, prawie zawsze stósując się tylko do wypalenia, czyli niezważając wcale, czy stopień fermentacyi i wyrobienia był dostateczny. Za tém idzie, że chleb bywa albo zanadto rozrosły, rzadki, wypędzony, albo zanadto gęsty, twardy, zbity jak kamień.

Dobroć chleba zawisła najbardziéj od wyrobienia i fermentacyi chlebowego ciasta. Starać się więc przedewszystkiém należy, ażeby kwasy ku temu celowi przeznaczone, były świeże, najwięcéj trzydniowe, nawet podczas pory zimowéj. Nic łatwiejszego nad to w miejscach, gdzie gromady nieprowadzą pieczywa razem i na wielką skalę, a gdyby nawet istotny okazał się brak kwasu świeżego, snadno go sporządzić ze skórek i okruszyn chlebowych, wrzucając je do wody i wstawiając to wszystko do pieca na 50° ciepłego.

Jeżeli kwas jest dobry, dziesiąta część jego na sto części całego pieczywa jest dostateczną; czyli do otrzymania 40 funtów chleba wystarcza 4 funty dobrego kwasu. Kwas taki należy wprzody rozcieńczyć czystą, ciepłą ale niegorącą wodą w ilości $1\frac{1}{2}$ kwarty i zasilić 6 funtami mąki. Tak przyrządzony kwas chlebowy, zwykle w tym stanie większą tęgość niż ciasto zwyczajne mający, umieszcza się w miejscu ciepłém, i zostawia w spokojności, aż podrośnie czyli zwiększy 2 razy swoją objętość i nabierze słabo winnego zapachu. Kiedy tak ukończony jest pierwszy stopień zakwaszenia, przystępuje się do zrobienia drugiego kwasu. W tym celu 10 funtów mąki zarabia się z pierwszém ciastem ukwaszoném, czyli dopiero co opisaném, i stawia się znowu w miejscu ciepłém do fermentacyi, a gdy ta należycie się rozwinie, miesza się z resztą mąki przeznaczonéj na chleb, i z przyzwoitą ilością wody wyższéj nieco temperatury wyrabia dobrze, i rozdziela na chleby, których wielkość zawisła od potrzeby i upodobania. Przyrządzone tak chleby należy jeszcze raz poddać fermentacyi winnéj i w tym celu zaokrąglone ręką, i obsypane po wierzchu mąką, żeby nieprzylegały, umieszczają się w miejscu ciepłém na pół, a najwięcéj na trzy ćwierci godziny, gdzie ruszanie się czyli podchodzenie, tak wysoko dojść powinno, żeby chleby podniosły się na $\frac{1}{3}$ część jeszcze. Wsadzają się nakoniec chleby do pieca dobrze ogrzanego i zostawiają się w nim przez godzinę.

W ogólności robota około ciasta chlebowego, powinna odbywać się żywo, prędko i silnie. Przy ostatniém gnieceniu dobrze jest dodać pewną ilość wody osolonéj.

Chleb tym przyrządzony sposobem, musi być koniecznie dobry i smaczny, jeżeli tylko mąka pochodziła ze zboża zdrowego. Ale jeżeli zboże użyte na mąkę chlebową było ze zboża wilgotnego, a tém bardziéj, jeżeli zaczynało już puszczać kiełki, lub psuć się przez zagrzanie i pleśnieć, jest zaś konieczność obrócenia go na chleb, odmienniéj nieco pieczenie jego poprowadzić należy.

Chcąc tedy przygotować chleba takiego 50 funtów np., bierze się 6 funtów ciasta zakwaszonego, o ile to być może z wczorajszego pieczenia, a w ogóle tém świeższego, im fermentacya mąk ze zbóż już puszczających przechodzi prędzéj do gnicia. Taki kwas rozczynia się w wodzie letniéj z 8 funtami mąki, po zarobieniu przechowuje się w miejscu ciepłém, póki niezyska $\frac{1}{3}$ części swojéj objętości, i niewyda zapachu chleba kwaśnego. Rozczynienie powtórne w wodzie letniéj z 18 funtami mąki przerywa owo zakwaszenie; poczém wydobyty tak z niego nowy kwas zmniejsza się w cieple, a gdy w skutek ruszania dojdzie znowu do $\frac{1}{3}$ swojéj objętości, należy go spiesznie rozbić z resztą mąki w wodzie jak najmniéj ogrzanéj, przejętéj $2\frac{1}{2}$ uncyami zwyczajnéj soli.

W ogólności mąki z zbóż puszczających, nadzwyczaj nagle przechodząc wszelkie fermentacye, wymagają daleko większego pospiechu w pieczeniu z nich chleba, niż mąki zdrowe. Woda używana do nich, powinna być jak najmniéj wygrzana, ciasto powinno być tęższe, chleby daleko rzadsze, tak że formy i miary na chleby 6funtowe mają być tylko napełnione $3\frac{1}{2}$ funtami ciasta. Aby zaś po ostatniém zarobieniu przeszkodzić zbytecznéj fermentacyi, należy ciasto po upłynieniu ćwierci godziny, rozdzielone na chleby, wsadzić do pieców lepiéj wygrzanych niż zwyczajnie, inaczéj chleby rozleją się dla braku odpowiedniéj mocy ciepła, i niewyrosną wcale. Trzymanie chlebów z mąk zepsutych w piecach przyzwoicie opalonych, trwać ma najmniéj 45 minut, chleby zaś takowe upieczone, dopiero po 3 dniach używać należy. Takie postępowanie około pieczenia chleba z mąk nadpsutych, wydaje chleb jeżeli niezupełnie tak dobry, jak się otrzymuje ze

zbóż zdrowych, to przynajmniéj zawsze posilny. Zasługuje téż na uwagę postrzeżenie, że tym postępując sposobem, mąki zbóż puszczających niewysuszone nawet, dawały chleb dosyć tęgi, w którym skórka była przyzwoicie zjednoczona z ośródką, i który niemiał nieprzyjemnego smaku ani zapachu, też same jednak mąki przed zarobieniem z nich ciasta wysuszone, dostarczały o wiele lepszego chleba, bo należycie gęstego i wysuszonego, ze skórką wprawdzie nieco klejowatą, ale zawsze silnie do ośródki przystającą. Wszakże i wysuszenie poprzednie niewystarcza, aby zboża zaprzałe albo spleśniałe uczynić sposobnemi do wydawania pożywnego chleba, i zatracić w nich własność sprawiającą wymioty, lub dającą smak ostry, nieznośny. Wprawdzie można chleb doprowadzić do przyzwoitéj gęstości i pozoru, ale smak i zapach niepozwalają twierdzić, że jest z niego pożywienie zdrowe i posilne. Można je wszakże przez przymieszanie do nich mąki dobréj pożytecznemi uczynić.

Jedna trzecia część dobréj mąki, złączona z dwoma częściami mąki zboża zaprzałego lub zapleśniałego, sprowadzi pożądany wypadek. Smak chleba z takiéj mieszaniny przygotowanego jest o wiele znośniejszy, a zapach nieprzyjemny prawie zniszczony. Połowa zaś zdrowéj mąki, a tém bardziéj $\frac{2}{3}$ jéj części, dostarczą tak wybornego chleba, że ani śladu odrażającego zapachu niebędzie, a smak odznaczy się nawet pewną przyjemnością. Zawsze jednak pamiętać należy, że chleb tego rodzaju, zanim po upieczeniu użyty zostanie, kilka dni w miejscu osobném przechowywany być powinien.

Drożdże do przygotowania lepszego chleba z mąki zboża zmienionego co do swojéj właściwéj natury bynajmniéj niepomagają, a nawet niepobudzają wyruszenia się ciasta; chleb może wprawdzie zyskać nieco na powierzchowności, ale tém mniéj będzie miał tęgości, im więcéj użyto drożdży do jego upieczenia, a smak i zapach jeżeli niestracą na dobroci, to pewnie nic nieskorzystają.

S. M.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Jednym z najpiękniejszych wieczorów koncertowych w tym roku u nas spędzonych, był 30. Czerwca. Przeznaczony na wsparcie nieszczęśliwych, odznaczył się nietylko podniosłością celu, ale i wykonaniem. Połączono tym sposobem pożyteczne z przyjemném. Kiedy myśl wyższa pojawi się śród społeczeństwa jakiego, to całość jakby wirem porwana, jedną tonią płynie ku celowi przez nią wskazanemu, tak też i tego wieczora teatr przepełniono, a uczucia słuchaczy wtorowały rzeczom wykonywanym muzycznym z taką jednością i zgodą, iż i słuchaczy i wykonywających za dwa bieguny magnesowe poczytać było można. Lecz jakiż przedmiot środkujący między słuchaczami, a exekwującemi amatorami pociągał ku sobie? Któż zatlił iskrę boską w tych sferach harmonii? Oto natchnienia Chopina, które krom dźwięczności w melodyi i harmonii aż dotąd dla powszechności naszéj jeno hieroglifami były, drzémiącemi w wydaniach Breitkopfa i Hertela. Przed sześciu laty wiedziano o nich tylko z powieści, odtąd zaczęły się w łatwiejszych utworach upowszechniać, aż nakoniec doczekaliśmy się wykonania i najtrudniejszych i najpiękniejszych, z prawdziwie mistrzowską dokładnością.

Koncert Chopina z E mol, odegrany został przez jednę Damę z wielką poprawnością, pewnością, zapałem, a przytém taką wydatnością plastyczną melodyi, iż wykonanie bynajmniéj niepozostało za myślą jego twórcy.

Fantazya Chopina na śpiewy polskie, z głębokiém pojęciem i uczuciem oddana, poruszyła wszystkie tętna słuchaczy, rozumiejących i czujących aż do rozczulenia te piękne śpiewy czasów ubiegłych, któremi wtorowali swoim uczuciom Karpiński, Kurpiński i nasi Kujawiacy.

Mniéj zrozumiałemi były waryacye na tema Belliniego przez Henzelta, lubo wykonanie ich było dobre.

Cóż powiemy o śpiewach — »z Hugenotów« Mejerbera, — z opery »I due illustri rivali« (Quel celeste tuo sembiante) i duecie z opery »Torkwato Tasso« Donizetego, przez Damy wykonanych, którym tylko cel piękny dodał odwagi do wystąpienia po pierwszy raz w życiu publicznie, — oto jedno słowo, wyborne! Śpiewy te oddane zostały i ślicznym głosem, i z głębokiém uczuciem, i metodą prawdziwie włoską.

Koncert ten pozostanie długo w naszéj pamięci, stanowić będzie ważny u nas moment w zawodzie sztuk pięknych, i to tylko pozostawia życzenie, abyśmy się co rychléj doczekali podobnego wieczora.

Pewna gazeta w Nowym-Yorku wyśmiewa w ten sposób napuszyste ogłoszenia środków do czernienia włosów: pewien mężczyzna wziął przez pomyłkę flaszkę oleju do czernienia włosów, i napił się; w kilka godzin zupełnie zczerniał i wyglądał podo-

bnym do murzyna. Wystawić sobie rozpacz żony jego, kiedy obaczyła tak zmienionego męża swego!

Afrykański teatr narodowy. Jeżeli wierzyć można podróżnym, którzy teraz wewnętrzną Afrykę zwiedzili, to murzyni posiadają w owych krajach swój teatr narodowy i narodowego poetę. Ten nazywa się Yuicka, i w pisaniu tak jest płodnym jak Scribe; sztuki jego są obrazami obyczajowemi i nazywają się: żniwo gumy, biały djabeł i t. d. i t. d. W tych dramatach zawsze występuje pewna stała karykatura, biały djabeł, którym przydomkiem oznaczają murzyni Europejczyków. Djabeł biały bardzo jest chudy, nosi na sobie surdut bramowany, drzy z zimna i zażywa tabakę. To naśladowanie jest bardzo zabawne i zupełnie zastósowane do smaku tego ludu, który nadzwyczaj się cieszy, kiedy bezkarnie może szydzić z białych ludzi, lubo się ich bardzo obawia.

Mody. — Paryż, dnia 1. Lipca 1840. — Najświeższą i najpiękniejszą nowością na suknie są w téj chwili bareże we wzory fantazyjne. Szczególniéj zaś w kolorach lilijowych i białych są poszukiwane; rzadko noszą w różowych i niebieskich. Wspomnieć nam tu wypada o organtynach we wzory koronkowe i białych i niebieskich fulardach w małe wzory.

Muśliny i bareż-batysty coraz więcéj się upowszechniają. Miękciejsze są aniżeli chali, piękniejsze niż muśliny wełniane i stósują się na każde wzięcie. Szczególniéj polecić je można Damom podróżującym, bo w powozach i kufrach nietyle się gniotą.

I fulardy mają swoje zalety i nic niewygląda tak pięknie i świeżo, jak na tle białém kraty różowe, niebieskie, zielone, które wybierają najczęściéj na negliże.

Obok muślinów łącznych podobają się także i we wzory marmurowe. Najpiękniejsze są w kolorze pomarańczowym, z żyłami czarnemi. Tym odpowiadają najstósowniéj szale kaszemirowe niebieskie.

Szarfy szczególniéj w modę weszły. Wyrabiają je najczęściéj z ciężkiego jedwabiu, w pewnym rodzaju poux de soie, jednokolorowe, u dołu z frędzlą na trzy ręce szeroką, i t. d. Ciemnym kolorom przyznają tu pierwszeństwo.

Widać też i pojedyńcze szarfy z czarnego barežu, osadzone koronkami. Jestto piękna i prosta ozdoba.

Mankietki płasko leżące batystowe bez haftu przekładają nad inne, lubo i koronkowe są poszukiwane.

W téj chwili więcéj noszą kamaszy niż bócików i słusznie.

Szwedzkie rękawiczki ciągle się utrzymują.

W ostatnim czasie dano tu wiele świetnych wieczorów. Wiele zmian ujrzano w ubiorach. Tkaniny złotem przerabiane ustąpiły muślinom indyjskim, tarlatanom i jedwabnym bareżom w jasnych kolorach. Po turbanach nastały stroje na głowę z koronek i kwiatów, lub z mnóstwa wstążek złożone. U sukien tych ujrzano długie przepaski prążkowate z kitajki lub z szkockich wstążek na białych sukniach.

Na ubiory dla mężczyzn wyrabiają już teraz kazimierki, nazwane popiołami Napoleona, a dla Dam krepy Śtéj Heleny.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z ryżowéj słomy z dwoma słaniającemi się piórami, pod obwodem koronkowy czepeczek. Opona z bramowanego atłasu, stanik gładki i podwójnemi falbanami koronkowemi osadzony, ku ramionom rozszerzającemi się. Na pół długie rękawy są równo obszerne i u dołu z wyłogami szerokiemi, spodem widać rękawek koronkowy z szerokiemi mankietkami. Suknia spodnia szeroką falbaną osadzona.
2. Kapelusz z ryżowéj słomy z opadającém dwukolorowém piórem. Suknia muślinowa z szeroką falbaną, rękawy szerokie. Szarfa fulardowa osadzona długą fręzlą.
3. Kapelusz jedwabny z kwiatami. Suknia grosdenaplowa, oszyta szerokiemi bufkami, ściąganemi u góry. Szarfa z muślinu haftowanego, kolorowo podbita i osadzona falbaną koronkową.
4. Kapelusz jak u 3. Suknia jedwabna, z stanikiem gładkim, ozdobiona trzema rzędami guzików; rękawki obcisłe i gładkie.

Oświadczenie. **Dla nieprzewidzianych okoliczności, Dziennik domowy nie wcześniéj, lecz jak dotąd i nadal wychodzić będzie.**

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc:

27.